

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 800.000 mk.  
1/2 „ — 400.000 „  
1/4 „ — 200.000 „  
1/8 „ — 100.000 „

## Po dwóch latach.

Dwa lata temu akurat przystąpiliśmy do wznowienia „Przeglądu Wileńskiego”. Przyznać się musimy, że nie sądziliśmy wówczas, aby wydawnictwo nasze miało trwać tak długo. Okoliczności zewnętrzne były tego rodzaju, że zdawało się, że rychło zajdą przemiany, które położą kres naszej pracy, zgoła uczynią ją zbyteczną, a raczej popchną ją w innym kierunku. Gdy znów kwestja Wilna i Wileńszczyzny zesła z widowni międzynarodowej a obecny stan polityczny naszego kraju, w związku z uznaniem granic wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej, na dłuższy czas się utrwalił, można było przypuszczać, że brak celu realnego uczyni wydawnictwo nasze zbyt jałowym i oderwanym od rzeczywistości.

I w zmienionych wszakże warunkach pismo nasze nie straciło racji bytu. Pozostając wiernym swej zasadniczej ideologii musiało się ono zająć szeregiem zagadnień aktualnych, wymagających oświetlenia bezstronnego i krytycznego, przeciwstawienia się panującej opinii, urabianej przez tendencyjną, bez wyjątku nacjonalistyczną prasę polską. Walka więc z nacjonalizmem, czyniącym z naszego kraju pole doświadczalne dla rozmaitych eksperymentów centralistyczno-unifikacyjnych, stała się głównym naszym zadaniem, któremu staraliśmy się poddać w miarę sił i możliwości.

Nie zamykamy oczu bynajmniej na fakt, że nacjonalizm nie jest wyłączną cechą społeczeństwa polskiego. Istnieją niewątpliwie również nacjonalizmy litewski, żydowski, białoruski. Ale jeżeli chodzi o nasz kraj w granicach państwa polskiego, mają one z natury rzeczy obecnie charakter obronny, gdy nacjonalizm polski jest agresywny i triumfujący, a przez to czyniący o wiele większe spustoszenia. Inaczej sprawa się przedstawia w tej części naszego kraju,

która się ukonstytuowała jako niepodległe państwo litewskie. Tam przeciwnie nacjonalizm litewski jest stroną silniejszą i znajduje szerokie ujście dla swych niszczycielskich instynktów.

Jeżeli jednak nie podnosimy protestu przeciwko objawom szowinizmu litewskiego, to czynimy to 1) dlatego, że wyręcza nas w tem prasa polska, w jaskrawych barwach stale malująca ucisk żywiołu polskiego w Litwie kowieńskiej oraz 2) dlatego, że będąc zupełnie odciętymi od Kowna, nie mamy możliwości sprawdzenia u źródła, o ile doniesienia o tych lub owych zarządzeniach antypolskich są wiarogodne i nie przesadzone.

Uwzględniamy wreszcie tę okoliczność łagodzącą, że Litwa nigdy nie żywiła żadnych uczuć nieprzyjaznych względem rdzennej Polski, wówczas gdy ze strony polskiej, pomijając już sprawę wileńską, nieraz się rozlegały nawoływania do marszu na Kowno, usilnie przeciwdziałano uznaniu niepodległości Republiki Litewskiej *de jure* i przyjęciu jej do Ligi Narodów, ostatnio zaś, w związku z kwestją Kłajpedy, nie szczędzono jej pogroźek wcale niedwuznacznych.

Nasze stanowisko pod tym względem już parokrotnie wyczerpująco wyjaśniliśmy, ale wobec ponawianych ciągle zarzutów, że „Przegląd Wileński” jest pismem rzekomo antypolskiem, zmuszeni jesteśmy znów powrócić do tego tematu.

Dziwaczna ta opinja mogła powstać jedynie na gruncie pomieszania pojęć narodu i państwa, których to kategorii nie rozróżnia u nas nie tylko przeciętny czytelnik „Słowa” i „Dziennika Wileńskiego”, ale nawet większość publicystów i polityków, mających pretensje do kierowania opinią publiczną. Dzięki temu więc utarło się mniemanie, że Litwin nie może być lojalnym obywatelem państwa polskiego i odwrotnie Polak nie może być lojalnym obywatelem państwa litewskiego. Bałamutny ten pogląd musi wywoływać ustawiczne nieporozumienia i zbijaniu go poświęci-

liśmy nie jeden artykuł w ciągu tych dwóch lat, wykazując na przykładach Belgji, Irlandji, Szwajcarii, Austrii i t. d., że narodowość i państwowość bynajmniej się ze sobą nie pokrywają.

Nie jest naszą rzeczą sądzić, o ile nasze argumenty były przekonujące i w jakiej mierze zdołaliśmy podważyć rozpowszechnione przekonanie. Objętność ogółu względem wszelkich zagadnień, odbiegających od utartych szablonów, niewątpliwie czyni nasze wysiłki o wiele mniej produktywnymi, niż byśmy mieli prawo tego oczekiwać. Atmosfera ostatecznego zdenerwowania i roznamiętnienia społecznego i politycznego, którą od dłuższego czasu wszyscy oddychamy, również nie sprzyja prowadzeniu dyskusji rzeczowej a nie związanej z aktualnymi bolączkami walk partyjnych i spadku waluty. Prasa warszawska zbyt jest pochłonięta przesileniami ministerjalnymi, prasa zaś wileńska, nie mając odpowiednich sił do polemiki, obrała wygodną taktykę pomijania milczeniem wszelkich tematów drażliwych.

Mimo tych wszystkich warunków niesprzyjających, dwuletnia praca nasza nie poszła na marne. Nie mając możliwości oddziaływania na szeroki ogół czytelników z naszej szczupłej dwutygodniowej trybuny, zdołaliśmy zgrupować koło pisma mniej liczny, ale wypróbowany zastęp sympatyków i zwolenników tego kierunku, który reprezentuje „Przeгляд Wileński” od chwili swego powstania, a który pierwiej lub później musi doprowadzić do sformułowania programu *krajowego*, jako jedynej koncepcji, mogącej pogodzić rozbieżne interesy i dążności poszczególnych narodowości, kraj nasz zamieszkujących.

Albowiem w głębokim naszym przekonaniu kraj jest tworem o wiele stalszym, niż naród.

## WOLNA TRYBUNA.

### W imię realizmu politycznego.

Ostatni numer *Krynicy* z r. b. przynosi znamenny dla nastrojów jej wydawców i współpracowników artykuł: *Białarusam patrebnij kaścioł u Wilni*.

Sprawa w nim poruszona jest nie nową i ma już w Wilnie swoją historję. Przed wojną w swoim czasie krzątał się już koło niej (lecz bezskutecznie) p. Bolesław Poczopko, redaktor ówczesnego „Białarusa”. Odżyła ona ponownie w r. 1919, kiedy Piłsudski przez czas pewien kokietował ruch białoruski i jego u nas działaczy. Tak zrozumiałem było wtedy wśród tych *mierzzenie sił na zamiary*, że wysunięcie podówczas w Wilnie hasła: *Białorusinom potrzebny kaścioł w Wilnie* nie stanowiło żadnej zagadki psychologicznej. Zdawało się ówczesnym petentom, że budzenie się świadomości białoruskiej wśród katolików w mieście, jak i na wsi, pójdzie niczem w butach siedmiomilowych, naprzód. Upłynęło jednak od lata i jesieni 1919 r. pięć lat ciężkich i jakże bogatych w doświadczenia, które wprost same na-

stręczały się tym, co mieli oczy i uszy otwarte na bieg wypadków!

Zawsze i wszędzie niewdzięczną jest rola proka, więc najmniej komuś chodzić tu może o określenie przyszłości ruchu białoruskiego, któremu życzyć jak najlepiej jest wprost elementarnym obowiązkiem ludzkości. Jeśli bowiem każdy z nas życzliwością winien darzyć jednostkę ludzką, to o ile więcej nań zasługuje jakiś naród, zbiorowisko takich jednostek?! Sprawa białoruska, dla tych dobrych pierwiastków, które w niej tkwią i, da Bóg, zwyciężą wszystko, co im stąd i owąd zagraża, istotnie godna jest dobrej a pięknej przyszłości. Oby same życie było dlań takim właśnie prorokiem. Wolno więc mieć nadzieję, że kiedyś w miastach, a zwłaszcza na prowincji, mowa białoruska stanie się w kościele spólrzdną innym językom kraju i nie tylko kościoł, ale może i coś więcej będzie należało się w Wilnie Białorusinom. *Spes non confundit...*

Ale dziś..., dziś nam należy słuchać twardych często nakazów realizmu politycznego, a entuzjazm przejawiać się winien nie w stawianiu nader śmiałych co do swej realizacji żądań, lecz w pracy cichej — u podstaw. *Nasamprzód trzeba stworzyć typ świadomego Białorusina-katolika, odczuwającego żywą potrzebę modlenia się w języku ojczystym*. Irlandczycy katolicy potrafili nawet wywalczyć całkowitą niezależność swej ojczyzny, a nie mogli przecież wprowadzić, na miejsce języka znienawidzonych ciemiężców — angielskiego, starej mowy ludu irlandzkiego!... Musi też jeszcze skryształizować się dobrze typ kapłana-Białorusina, nie polityka, o nie! lecz duszpasterza, zrośniętego całym sercem z ludem białoruskim. Nie powinno to bynajmniej ubliżać komuś, bo znamy już wśród księży Białorusinów zacnych a gorliwych pracowników w winnicy Pańskiej, ale typu powyższego jeszcze nie widzimy dobrze ucieleśnionego.

Przy obecnym stanie rzeczy w Wilnie, — wobec bardzo małej jeszcze liczby Białorusinów-katolików, chcących, a nie mogących (wskutek rozproszenia po mieście) uczęszczać na kazania białoruskie do kościoła św. Mikołaja, gromadzące najczęściej kilkadziesiąt z okładem osób, kościół dla Białorusinów w Wilnie jest tymczasem nie potrzebny. Jest tak niepotrzebny, że sama przezorność a roztropność nakazywałaby Białorusinom nawet nie przyjąć odnośnej oferty, jeśliby ta dziś uczynioną im była. Bądźmy szczerzy. Przeniesienie Białorusinów-katolików w Wilnie z kościoła św. Mikołaja do jakiegoś innego ujawniłoby tylko przed całym światem znikomą tu dziś jeszcze ilość wiernych narodowości białoruskiej. Komu ta kompromitacja naprawdy jest potrzebna?! Co gorsza, faktem jest, że kazania i pienia białoruskie *nigdzieby* się nie ostały w kościołach wileńskich poza św. Mikołajem, gościnnie udzielonym Białorusinom przez Litwinów. Któż może wątpić, że taki J. Obst i różne odmiany pp. Kupściówien nie potrafiłyby tak lub owak podbechtać ciemnej gawiedzi babskiej w Wilnie, dla zerwania już pierwszego nabożeństwa białoruskiego w nowej siedzibie?! Oddanie Białorusinom kościoła, przez władzę najprawowitszą ani trochę nie powstrzymałoby ich od tego występu. Urządzenie zaś ewentualne nabożeństw pod osłoną oddziału policji dla kogoż może być pożądanem?..

*Sapienti sat!*

Białorusinom-katolikom trzeba życzyć więcej realizmu politycznego  
Adam Sołoduch.

## Monografia Grodna.

Józef Jodkowski. *Grodno*. Wilno, MCMXXIII  
Str 119 z 28 ilustracjami i planem miasta.

By znaleźć miarę właściwą dla oceny znaczenia publikacji niniejszej, niezbędnym jest rzut oka na los badań nad przeszłością Grodna. Temat to prawdziwie przykry, bo zmusza piszącego do stwierdzenia smutnego faktu, że *Polacy dotychczas dosłownie nic a nic nie zrobili dla przeszłości Grodna!* Dziejoznawstwo grodu nadniemeńskiego z iście zadziwiającą biernością, bez cienia żalu, odstąpione zostało całkowicie Rosjanom i to najzagorzalszym rusefikatorom. Z zawstydzającym Polaków zapałem uprawiali tę niwę przedewszystkiem nauczyciele gimnazjalni, jak Eustachy Orłowski, mogący być nazwany niejako Herodotem dla zasług położonych dla historii Grodna i Dymitr Milutin; duchowni prawosławni: Dikowski, Korczyński...; urzędnicy: Dikow..., sędownicy: Kadygrobow..., wojskowi: Manassein... Nawet żydzi (Knorozowski) i Niemcy (Eisemann)... Brakuje tu tylko nazwisk polskich!...

Mimo, że Grodno ilością inteligencji polskiej oczywiście dorównać nie mogło innym większym miastom, mało jednak w najgorszych nawet czasach ucisku carskiego, zawsze pewien zastęp Polaków lekarzy, księży, adwokatów, obywateli miasta... Jednak za cały, długi wiek niewoli polskie Grodno nie wydało żadnego historyka swej przeszłości, żadnego badacza jej źródeł, a miłośnika starożytności, umiającego odczytywać dzieje grodu rodzinnego, wyrażone w kamieniu i cegle. Próżnobyś tedy szukał w Grodnie nie tylko Kirkora lub Mamerta, ale chociażby takiego Zahorskiego, Kurczewskiego, Uziębły, Studnickiego. Nie wydało też ono pisarza, któryby umiał barwnie życie Grodna w stuleciach minionych, tak bogate w chwile dramatyczne, ożywić swem piórem i odtworzyć dla potomnych... nikt dotychczas nie próbował jeszcze uchwycić, w postaci nowelki lub gawędy, polszczyzny grodzieńskiej będącej właściwie odrębną gwarą.

Cóż dziwnego, że wobec strasznego na tem polu zaniedbania, Rosjanie — prawosławni wdzięczne a dość łatwe mieli zadanie, monopolizując sobie całkowicie badanie przeszłości grodzieńskiej i wysnuwanie zeń wniosków na wyłączny użytek carskiej Rosji i Cerkwi prawosławnej?! Historia to ma z przyrodą wspólnego, że podobno jak ta *abhorret a vacuo* — próżni nie znosi. Innemi słowy: kto zaniedbuje historję swego kraju lub miasta, oddaje ją — obcym. I niech się nie dziwi i nie gniewa, że obcy go tu wyręczą, zapisując jednakże na swe konto zdobycze poczynione.

Tak było przez cały wiek XIX, i dopiero początek w. XX wniósł tu pewną zmianę na lepsze ukazując wśród społeczeństwa polskiego wyraźny zwrot. W tym bowiem czasie zaczęły żywo się interesować przeszłością Grodna podrostki pośród wychowanków gimnazjum grodzieńskiego, a więc St. Kościalkowski, W. Kozłowski, J. Jodkowski, Wł. Tołoczko... Rychło jednak studja, potem praca zawodowa lub obowiązki powołania oderwały większość tych ludzi od Grodna, a pośrednio od możliwości prowadzenia tu dalszych badań i poszukiwań oraz pracy dziejopisarskiej i wydawniczej. Tylko p. J. Jodkowskiemu okoliczności pozwoliły zachować bliższy kontakt z Grodnom, dla którego nie przestał pracować i wtedy, gdy specjalizując się w archeologii lub porwany wypadkami wojennymi, przebywał w Rosji,

skrzętnie tymczasem przerzucając archiwa i biblioteki w poszukiwaniu niewyzyskanych dotąd źródeł, materiałów i przyczynków do dziejów miasta ojczystego.

W okresie, który się zaczął dla Grodna przez zajęcie go przez wojska polskie, p. J. Jodkowski, w myśl angielskiej zasady: „właściwy człowiek na właściwym miejscu” powołany został na stanowisko konserwatora okręgu Białostockiego, obejmującego Grodno. Dało to mu możność otoczenia opieką przeszłości uciążliwanego grodu, stworzenia Muzeum Państwowego w Grodnie i w długim szeregu artykułów, wśród swoich i obcych, popularyzowanie znajomości dawnych jego dziejów.

Pierwszym wynikiem tych szlachetnych zabiegów na polu wydawniczym jest obecna książka „Grodno”, której rodzaj, w myśl autora, zbliża się do wydanego przed paru laty *Wilna* Mościckiego. W ciężkich czasach obecnych rzecz ta ujrzała światło dzienne, będąc wydana z udziałem zapomogi departam. *Sztuki Min. W. R. i O. P.* Jednocześnie jest to pierwsza książka polska, traktująca przeszłość Grodna! Lepiej późno, niż nigdy!

Sam autor chce, by jego „Grodno” traktowano, jako „podręczny szkic dziejów Grodna i opis jego pamiątek”. Na monografię tego miasta, przy obecnej znajomości jego dziejów, jeszcze zawczasie, jak również teraz dopiero, po tym szkicu może się ukazać przewodnik po Grodnie, będący z natury rzeczy zwykle skrótem większej całości. Tem się tłumaczy, że w pracy mogą się znaleźć braki i nieścisłości.

Nie bierzemy autorowi za złe, że wydając swą książkę w Roku Pańskim MCMXXIII, chce się przychylić do wzmocnienia pewnej koncepcji politycznej. Ten pierwiastek polityczny u J. Jodkowskiego nie oznacza bynajmniej jakiegś nierzetelności w przytaczaniu faktów historycznych, lub wyprowadzaniu z nich wniosków. Przeciwnie, przy rozświetlaniu bardzo zawiłych początków Grodna, autor szkicu składa istotnie duże dowody swej bezstronności i przedmiotowości. Wystarczy chociażby zwrócić uwagę na to, co Jodkowski mówi o starożytnych nazwach Grodna i o górze sypanej, na której stało dawniej zamczysko, a dziś jest Stary Zamek.

Co do dawnych nazw Grodna, to dawane mu przez krzyżaków *Gartena, Garten lub Gartin* nie mają odrębnej indywidualności, jako że wszystkie one były ziemczone, raczej zepsutą formą litewskiego *Gardinas*, które pochodzi od słowa *gardas*, co oznacza hurt, czyli miejsce ogrodzone, a później — gród. Niepotrzebny tylko nacisk kładzie autor na domniemaną tu hodowlę owiec, bo hurt równie dobrze mógł służyć ongiś, jako nazwa ogrodzenia dla innych gatunków bydła. Przebogata w lasy, częstokroć stojące tu na podłożu wodnistym, Litwa nie nadawała się na dobry teren hodowli owiec, zwykle chorujących w miejscach wilgotnych. Istnienie w mitologii litewskiej zagadkowego bożka Gardunithisa i innych należałoby skonfrontować z najlepszym znawcą jej Mierzyńskim, autorem cennej pracy mitologicznej. Otóż ten bożek „miał podobno poświęcony mu gaj pod Grodnom, a miejsce to znane było na całej niegdyś Litwie”. Również I. J. Kraszewski tak nazwę, jak powstanie Grodna łączy ściśle z narodem litewskim... „Charakterystycznym jest, że wśród t. zw. (sic!) Białorusinów brak podań o powstaniu miasta. Podań, dotyczących się początku owych dziejów Grodna szukać należy wśród ludu litewskiego, którego osady dochodziły do rzeki Szczary, a nawet dalej”. Dotychczas folklor białoru-

ski jest jeszcze słabo zbadany, więc trudno dziś powiedzieć, czy rzeczywiście niema wśród Białorusinów żadnych podań odnośnie początku Grodna, które w mowie Białoruskiej nosi starą nazwę *Horodnia*. Miało też zapewne Grodno osobną nazwę w mowie Słowian, co z Kijowa wyprawy czynili na Jadźwingów, mających tu swe siedziby. Najmłodszą tedy nazwą dla grodu nadniemeńskiego, niewątpliwie jest dzisiejsza polska jego nazwa *Grodno*, co daje niemało do myślenia.

Ta różnorodność nazw, dawanych Grodnu, niemało się przyczynia do pewnej mglistości, jaka spowija pierwotne dzieje jego, zostawiając wciąż otwartą kwestję, kto pierwszy dał mu początek. Nie bojąc się atoli wpaść w przesadę, powinniśmy zaznaczyć, że swą starożytnością Grodno wyprzedza Wilno, Kowno, a może i Mińsk. Również Kołoska cerkiew w Grodnie jest *najstarszym* budynkiem kamiennym wzniesionym dla kultu chrześcijańskiego na obszarze dawnej Litwy. Nawet odrzucając możliwość panowania na zamku Grodzieńskim udzielnych książąt ruskich, nie możemy zaprzeczyć, że owa świątynia w stylu bizantyńskim, mająca w sobie coś z warowni, mówi o wcale poczesnej roli, jaką żywił ruski, względnie obrządek wschodni, odegrał w kształtowaniu się Grodna.

Gród nadniemeński tyle razy zmieniał swego pana, tyle razy jego mury obronne widziały kolejno hufce litewskie, ruskie, halickie, tatarskie, krzyżackie..., że pewnej chaotyczności dzieje jego nie mogą się ustrzedz, jako rzeczy wprost nieuniknionej, a za główną winowajczynię mającej właśnie samą ich zmienność.

Od Grunwaldu zaczyna się nieco spokojniejszy okres w dziejach Grodna, które otrzymuje w tym czasie pierwszy przywilej, potem prawo magdeburskie, wreszcie liczne świątynie tak katolickie, jak prawosławne... Tak powoli Grodno wybija się, z rzędu miast powiatowych, do godności częstej rezydencji królów, siedziby sejmów, miejsca sesyj trybunalskich... Lecz *fortuna variabilis est* i oto Grodno znowu przeżywa najazd moskiewski i potop szwedzki, oraz przeróżne postoje wojsk rosyjskich. Jeszcze raz u schyłku b. Rzeczypospolitej sądzonem było Grodnu zabłysnąć na całą Polskę — tym razem sławą dużego ośrodka przemysłu i handlu krajowego, stworzonego tu pracowitą dłońią niezapomnianego Antoniego Tyzenhauza. Na krótko jednak rozblęzło wtedy ono, bo niedaleki już był zachód całkowity tak Grodna, jak i państwa. Dobrze tedy czyni p. Jodkowski, podkreślając wyjątkowe bogactwo Grodna w epizody o wysokim dramatycznym napięciu, jakby stworzone na to, by służyć mogły fabułą wielkich tragedji historycznych (Tyzenhauz, Sejm Niemy, Abdykacja Stanisława-Augusta Poniatowskiego). Rok 1812, niosący *oczekiwania tęskne i radosne* (p. 45), powstania listopadowe i styczniowe, kończące się straszliwą hekatombą, duży pożar Grodna w r. 1885, od którego i dziś jeszcze starzy grodnianie, niby rzymianie *ab urbe condita*, określają datę różnych wypadków, wreszcie losy Grodna czasu wojny światowej wypełniają koniec części pierwszej, zatytułowanej *Dzieje miasta*.

Druga część pracy p. Jodkowskiego poświęcona jest *Zabytkom Grodna*, a więc dawnym warowniom grodzieńskim, cerkiewce na Kołozy, kościołom, budownictwu świeckiemu, w tej liczbie bożnicy. „Pierwotny gród grodzieński niczem nie różnił się od szeregu innych grodów najstarszych, na ziemiach Litwy historycznej w czasach jeszcze przedhistorycz-

nych powstałych. Grody najstarsze, głównie nad Niemnem ongi położone, mają tu specjalną nazwę „pilekalni”, czyli „gór sypanych”. Typ takiej pilekalni znajdujemy w Grodnie” (p. 53). Dawna Litwa cała usiana była takimi pilekalniami, które spełniały tam funkcje bardzo różnorodne (dnem dymem, w nocy ogniem sygnalizowano z nich zbliżanie się nieprzyjaciela, wzywano zastępy orężne dla obrony kraju, zatrzymywano posuwanie się nieprzyjaciela w głąb kraju, ukrywano tu żony i dzieci i t. d.). Dla wyjaśnienia roli pilekalni grodzieńskiej, usypanej nad Niemnem i określenia jej typu, przydałoby się osiągnięcie opinii L. Krzywickiego, specjalisty-badacza w tej dziedzinie. Pilekalnie są w Grodzieńszczyźnie i gdzieindziej, nie tylko nad Niemnem, por. t. zw. Szwedzką Górę pod Wołkowyskiem i in.) P. Jodkowski w ten sposób szczęśliwie wyjaśnia tajemnicę góry, na której stoi w Grodnie Stary Zamek.

Dłużej też zatrzymuje się autor *Grodna* nad cerkiewką Kołoską i szeregiem ilustracji, z których jedna wykonana w kilku barwach, przykuwa uwagę czytelnika nawet zamieszczonego do tej najstarszej bodaj świątyni chrześcijańskiej na Litwie. Szczególnie zaciekawia tu każdego *głośniki*, garnki akustyczne, wmurowane w ścianach tej cerkiewki, a zwrócone swym wąskim otworem do jej wnętrza. Szkoda tylko że p. Jodkowski nie dodał, jak rzadko spotykają się te głośniki naogół (bodaj tylko w Kijowie, Nowgorodzie, Pskowie — w najstarszych cerkwiach), będące dla Zachodu rzeczą zgoła nieznaną!

Przy omawianiu kościołów grodzieńskich, z uznaniem podkreślić nam wypada to, że p. Jodkowski *pierwszy* odśłania rąbek zasłony, kryjący postacie budowniczych kościołów grodzieńskich, o których umiał skrzętnie zebrać nieco cennych wiadomości. Zwykle przecież ich osobistości pozostają u nas w cieniu niewiadomości lub zapomnienia... Nie dziwimy się, że p. Jodkowski z największym ubolewaniem mówi o ostatniej a tak nieumiejętnie przeprowadzonej przez ks. Ellerta restauracji obrazów, fresków i malowideł w przepięknej Farze grodzieńskiej. Nielitościwie, chociaż już w inny sposób, obeszły się SS. Nazaretanki, restaurując oddany im w Grodnie po-brygidzki kościół, gdzie celowo zatarty wszelkie ślady po swych poprzedniczkach.

W końcu książki podana jest na dwu stronicach *Bibliografia*, nie mająca pretensji do zupełności, bo dużo dzieł bezcennych dotyczących Grodna pod każdym względem, a zgromadzonych przez E. Orłowskiego w jednej szafie biblioteki gimnazjalnej jako *Grodniana*, zginęło bezpowrotnie *calomitate temporum* czasu wojny ostatniej.

Zostaje kilka słów powiedzieć o stronie artystycznej książki, którą zdoła ozdobić okładka, 28 ilustracji i plan miasta. Są to podobizny miasta i szacowniejszych w niem budowli, bardzo udatnie dokonane przeważnie przez samego autora (parę z nich dał fot. L. Gelgor). Oprócz fotografii, są rzeczy zrobione przez p. Jodkowskiego od ręki graficznie. Dwie duże fotografie: *Zamek Stary w Grodnie* i *Kościół PP. Brygidek (obecnie SS. Nazaretanek w Grodnie)* dał wileński art. fot. J. Bułhak, który też zastrzegł sobie kontrolę artystyczną nad całym wydawnictwem.

Ponieważ drogą wydawnictw poświęconych, poszczególnym grodom, kościołom, zamkom i t. d., najlepiej się służy dziejoznawstwu kraju całego, z żywą radością witamy tą *pierwszą* polską publi-

kację o Grodnie, życząc jej, by stała się zapoczątkowaniem szeregu dalszych wydawnictw grodowi Nadniemeńskiemu poświęconych.

*Jadźwing.*

## List do Redakcji.

*Szanowny Panie Redaktorze!*

Niedawno w „Dzienniku Wil.” był zamieszczony artykuł w sprawie memorjału litewskiego. Ponieważ artykuł ten przesiąknięty jest fałszem, więc zwracam się do „Przeglądu Wileńskiego” z prośbą o udzielenie miejsca dla częściowego chociaż sprostowania faktów nie zgodnych z prawdą.

Autor artykułu twierdzi, że pp. W. i Cz. Landsbergowie, K. Staszys, W. Untulis, R. Butkus i J. Wirbalis „to przeważnie świeżo importowani i najmniejszego prawa na obywatelstwo nie mają”. To nie jest zgodne z prawdą, gdyż wymienieni mieszkają lub mieszkali w Wileńszczyźnie w przeciągu 10—20 lat.

Dalej, autor artykułu twierdzi, że p. Starosta Sejneński powierzył mi na słowo, że jestem pochodzenia miejscowego i wydał mi dowód osobisty, stwierdzający obywatelstwo. Otóż ja się urodziłem w Sejnach, a nie w Marjampolu, jak pisze autor artykułu, i otrzymałem obywatelstwo na zasadzie przedstawionej metryki i dowodu, iż byłem zapisany do ksiąg stałej ludności Sejn.

Nie zgodne jest z prawdą, że dr. Olsejko większą część swego życia przebył w Rosji. Dr. Olsejko w Rosji był tylko 3 lata podczas wojny, jak to było zmuszonych uczynić wielu obywateli m. Wilna. Przed wojną dr. Olsejko w przeciągu 6 lat mieszkał w Warszawie i Krakowie, obecnie zaś szósty rok mieszka w Wilnie. Nie zgodne z prawdą jest, że dr. Olsejko w czasie okupacji bolszewickiej szedł rękę w rękę z władzami najeźdźców, dowodem czego jest to, iż dr. Olsejko był oskarżony jako wróg władzy bolszewickiej i po dokonanej u niego rewizji (d. 17 marca 1919 r.) był oddany pod dozór czrezwyczajki. Podczas zaś drugiej bolszewickiej inwazji dr. Olsejko wyjeżdżał z Wilna.

Co do zarzutów pod adresem lecznicy Litewskiej w Wilnie, to zarządowi lecznicy nic nie wiadomo o jakimkolwiek protokole komisji sanitarnej. Odwrotnie, po rewizji jeden z członków komisji oświadczył, że lecznica zrobiła bardzo dobre wrażenie, we wniosku zaś komisji z dnia 10-XI № 2097 mówi się tylko o niektórych brakach lokalu, niema zaś mowy o jakichkolwiek brudach.

Nie zgodne jest z prawdą, że ks. Bielawski był zatrzymany na granicy przez władze litewskie, przeciwnie władze polskie nie chciały go wpuścić z powrotem do Wilna, ostatecznie zaś ks. Bielawski nielegalnie przeszedł granicę polską, za co był skazany na grzywnę.

Nie zgodne jest z prawdą, że wszyscy osadzeni w więzieniu na Łukiszkach uczniowie gimnazjum i seminarjum litewskiego, którzy byli katowani w urzędzie policji państwowej, „są pochodzenia nie miejscowego, przybyli z Litwy Kowieńskiej do tutejszego gimnazjum jedynie w celach agitacji politycznej”. A. Pakuła jest rodem z Koleśnik, pow. Lidzkiego; M. Żemajtis z gm. Giedrojcie, b. gub. Wileńskiej; Umbrasas z gm. Malaty, b. gub. Wileńskiej; Fr. Tamulewicz i J. Kumpa z Marcinkańc, obecnej

Ziemi Grodzieńskiej; J. Cijunelis z gm. Kołtyniańskiej, pow. Święciańskiego. Jak widać, czterech z nich pochodzą z terytorjum obecnej Rzeczypospolitej Polskiej, reszta (Umbrasas i Żemajtis) z byłego pasa neutralnego.

Nie zgodne z prawdą jest, że przy eksmisji gimnazjum litewskiego „policja palcem nie dotknęła ani jednego z uczniów”. Dowody gwałtów były stwierdzone przez cały szereg świadków, przez Komitet zaś Litewski były sporządzone protokoły, które w swoim czasie były ogłoszone w prasie.

Nie jest zgodne z prawdą, że władze szkolne nie wymagały w prywatnych szkołach litewskich wykładów geografji, historii Polski, przyrody i rachunków w języku polskim. Dowodem tych wymagań jest pismo p. Inspektora szkół ludowych na powiat Lidzki (z dn. 16 paźd. 1922 r. № 3385) do Litewskiego Towarzystwa Oświatowego „Rytas” w Wilnie. W tem piśmie między innymi warunkami, niezbędnymi dla uzyskania zezwolenia na otwarczenie prywatnej szkoły w Komaruńcach jest punkt 7, w którym powiedziano: „język polski, historia i geografia Polski, oraz rachunki i przyroda nauczane będą po polsku w takim zakresie i w takiej liczbie godzin tygodniowo, jaką przewiduje program ministerjalny dla szkół powszechnych”.

W końcu artykułu autor twierdzi, że „połowa przeszło uczniów litewskiego gimnazjum święciańskiego jest importowana z Kowieńszczyzny”, w rzeczywistości ani jednego ucznia niema w tem gimnazjum z Litwy Niepodległej, wszyscy zaś są pochodzenia miejscowego. W litewskim zaś gimnazjum w Wilnie z 576 ogólnej liczby uczących się 541 pochodzi z terytorjum obecnej Rzeczypospolitej Polskiej i tylko 35 z Litwy Niepodległej i ci ostatni prawie wszyscy z byłego pasa neutralnego.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

*Stanisław Kajruksztis.*

Wilno, 24/X 23 r.

## Z mego notatnika.

### Zdumiewające odkrycie.

Jest zjawiskiem powszedniem obecnie, że publicystyka polska bez żadnej ceremonji obchodzi się z prawdą historyczną i nagina ją do swych celów ze zdumiewającą zaiste dezinwolturą. Zasada *ad majorem Poloniae gloriam*—rozgrzesza dziś ze wszelkich fałszów, wymysłów i absurdów. Gdyby ta metoda *quasi* patriotyczna ograniczała się jedynie do prasy, byłoby jeszcze pół biedy. Gorzej, że zaczyna jej hołdować również nauka.

Trudno przecież przypuścić, by uczony tej miary, co prof. St. Pigoń nieświadomie i z dobrą wiarą mógł napisać w swej świeżo wydanej książce o procesie filareckim, że „przez przejścia młodzieży filomackiej wileńskiej zrobiony został w duszy polskiej pierwszy krok na drodze tego procesu wyobrażeniowego, którego końcowym, do dzisiaj żywym, rezultatem jest fakt, że termin „rusofil” jest w Polsce najohydniejszą obelgą”. I znów w innym miejscu: „Mowy o kompromisie z Rosją nie będzie w narodzie polskim już na długi wiek”...

Nie może wszakże prof. Pigoń nie wiedzieć, że zaledwie w 35 lat po owem rzekomem „wyróżnem

*i stanowczem* zagięciu się nurtu patryotyzmu polskiego" w tem samym Wilnie—kolega i przyjaciel wielkiego więźnia murów bazylikańskich, uczestnik biesiad filareckich, poeta i patriota polski, Antoni Edward Odyniec na przyjazd Aleksandra II do grodu Gedyminowego wołał w uniesieniu:

A wy duchy Jagiellonów  
Rozradujcie się w wieczności!  
Oto Dziedzic waszych tronów  
Waszych myśli i miłości,  
Ojciec ludu — Pan narodów,  
Wchodzi w progi waszych grodów,  
Przyjąć dzięki milionów,  
Którym wraca godność ludzi;  
Przyjąć hołd—nie czczych pokłonów,  
Lecz serc, których wdzięczność budzi.  
Których miłość i swoboda  
Aureolą nad Nim świeci  
On nie wzgardzi, co Mu poda,  
Jako Ojcu, grono dzieci.

Inny znany pisarz i autor „Obrazów litewskich” Ignacy Chodźko z tego samego powodu pisał:

„Tak więc jednym wielkim, jednomyślnym chórem brzmi dziś Litwa cała, uznając historycznym, z przeznaczenia danym i uroczystym dzień ten, w którym stopa Monarchy dotykając jej ziemi, ustala jej daty i dzień, który jest powtórzeniem owego dnia wiekopomnego w dziejach Litwy i ludzkości, gdy uwielbiony między narodami Alexander Pierwszy, niosąc ku pomocy Europie miecz swój zwycięski, gałęzią oliwną obwity, wszedł w te mury... i t. d.

Jeszcze inny poeta, pośledniejszej miary, ale przyjaciół bliski Syrokomi, Bolesław Nowiński w tym samym 18:8 r. ogłosił drukiem swój utwór p. t. „Głos Narodu”, w którym się tak oto modlił:

Monarcho Wielki! w bezgranic miłości  
Każde wskazuje, z dzieł Twego zawodu,  
Żeś Ty nam Okiem Boskiej Opatrzności,  
Że Tron Twój w sercach Twojego narodu.  
Jak nikt nie zliczy kropel w oceanie,  
Ni gwiazd orszaku cyfrą nie oznaczy,  
Tak może nigdy oko Twe, o Panie!  
Wszystkich wdzięczności tu łez nie zobaczy.

Powyższe jaskrawe objawy serwilizmu nie były bynajmniej odosobnione. Przeciwnie były wyrazem powszechnie panującego wówczas nastroju ugodowego w społeczeństwie polskim, zwłaszcza na Litwie.

Rok 63-ci i epoka Murawjewa, oraz jego następców przerwały tę sielankę, ale bynajmniej nie położyły kresu „mowie o kompromisie z Rosją”. Czyż trzeba przypominać rolę „Kraju” petersburskiego, nadzieje związane z przyjazdem Mikołaja II do Warszawy, otwarcie pomnika Katarzyny w Wilnie, zjazdy neosłowiańskie i wreszcie ów niesłychany entuzjizm, wywołany odezwą Mikołaja Mikołajewicza?

Gdzie więc i kiedy termin „rusofil”—jak twierdzi prof. Pigoń,—uważany był w Polsce za „najohydniejszą obelgę”? Zapewne, były takie momenty: krótkie okresy powstań, a zwłaszcza środowiska emigracyjne, ale śmiało można twierdzić, że na ogół żadna orientacja nie cieszyła się w Polsce porobiorowej taką popularnością i trwałością — mimo ustawicznych zawodów — co rusofilka.

Proces filaretów w bardzo nieznacznym stopniu wpłynął na postawę społeczeństwa polskiego; łatwo się o tem przekonać z pamiętników Bajkowa i innych relacji współczesnych. Wyolbrzymała jego zna-

czenie w oczach potomności bynajmniej nie żywa tradycja prześladowań i cierpień młodzieży, lecz jedynie potężna twórczość Mickiewicza.

Można mówić raczej o dziejowej roli „Dziadów”, niż samego procesu. Niestychana rzecz, aby tę elementarną prawdę zapoznawał profesor literatury polskiej!

### Bez obstępów.

Kiedy Wilhelm II wygłosił słynną swą mowę w Malborgu, oburzyła ona do głębi naród polski, bo zawierała brutalną apoteozę maksymy: siła przed prawem. Nie leży w charakterze polskim szorstka prawda. Nie lubi Polak jej ani słuchać ani wypowiadać. Woli kwieciste frazesy, któreby chociaż powierzchownie ukrywały ostre kolce przykrej rzeczywistości.

Z metodą tą zerwał jednak radykalnie obecny Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. W licznych swych mowach, wygłaszanych podczas objazdów państwa, nie bawi się w żadne sentymenty, odrzuca śmiało precz, jako stare zużyte rupiecie, wszelkie pozostałości z epoki romantyzmu, które tak mało pasują do sylwetki „nowoczesnego Polaka” i z całym przekonaniem propaguje religję *zdrówego* egoizmu narodowego.

Nawet na naszych t. zw. „Kresach”, gdzie ludność jest różnoplemienna, p. Prezydent nie zwracał się do ogółu obywateli, nie podnosił, jakby to napewno tylu innych na jego miejscu uczyniło, zasady równouprawnienia, jako podstawy najdemokratyczniejszej pono w świecie konstytucji polskiej, lecz mówił wyłącznie do Polaków i o Polakach, mianując ich „gospodarzami i panami tego kraju”, i zalecając im jedynie *wspaniałomyślność* i *pożliwość* względem „otoczenia”.

Mowę p. Prezydenta na bankiecie wileńskim cechowała również wyjątkowa otwartość. „Uprawienia Polaków do tej ziemi opierają się przede wszystkim na sile... Ta siła wojska polskiego, hartowna jak stal, sprawia, że jestem wśród was”... — były słowa p. Prezydenta.

Nie jeden z obecnych, przyzwyczajony do częściej frazeologii, zżymnął się może, posłyszawszy taką enuncjację z ust najwyższego przedstawiciela narodu i państwa, ale każdy, komu obrzydły już ckliwe deklaracje na temat „odwiecznej ziemi polskiej” oraz „jednomyślniej woli ludności”, powita niewątpliwie powyższe oświadczenie z głębokim uznaniem.

Dla nikogo przecież nie jest tajemnicą, że targ Polski z Litwą o Wilno zakończył się dla pierwszej pomyślnie, jedynie dzięki jej przewadze militarnej. Ludność, zwłaszcza nieuświadomiona narodowo i społecznie, zawsze ciąży ku silniejszemu. Wielkie pytanie, jakby się zachował sejm wileński, nawet zwołany pod presją strony zainteresowanej, gdyby chodziło o wybór pomiędzy tą samą Polską a potężną, nie zdeorganizowaną przez bolszewików Rosją. Zresztą *beatus qui tenet*, a Polska trzymała Wilno w swem ręku dzięki armii gen. Żeligowskiego.

P. Prezydent szczerze się do tego przyznając powiedział tylko znaną prawdę, starannie wszakże ukrywając trochę z przyzwyczajenia do pięknych gestów, a trochę z naiwnego wyrachowania, że tem się zwiedzie opinię i dyplomację zachodnio-europejską.

Autorytatywne oświadczenie p. Prezydenta w związku z niedawnym wyznaniem b. Naczelnika Państwa, że bunt gen. Żeligowskiego był tylko komedią,

stawiają sprawę Wileńszczyzny we właściwym świetle i kładą kres niepotrzebnym bałamuctwom.

Siła — to grunt, a reszta — to... fidrygałki..

### „Dekoratorzy”.

W jednym z ostatnich numerów dziennika litewskiego „Lietuvos Rytai” czytamy następującą notatkę:

„We wszystkich krajach cywilizowanych pamiątki starożytne są w poszanożowaniu i są konserwowane w postaci pierwotnej, aby je przekazać w takim samym stanie pokoleniom następnym, tylko Polacy dzisiejsi w zajętem Wilnie inaczej się zachowują. Niewiadomo napewno z czyjej inicjatywy: czy endecków z magistratu wileńskiego, czy też samej władzy polskiej, świeżo postanowiono zmienić wygląd Ostrej Bramy. Z powodu przyjazdu 14 października do Wilna Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na tej bramie, wzniesionej około 1498 r. za panowania W. Ks. litewskiego Kazimierza, na jej stronie południowej, od kolei, w niszy—we wgłębieniu nad wejściem do bramy został umieszczony, zdaje się z gipsu, wielki polski Orzeł Biały z rozpostartymi skrzydłami, zajmując całą przestrzeń szerokiej niszy i zdaleka widzialny. Tym sposobem strona zewnętrzna bramy otrzymała zupełnie inny wygląd. Tylko znajdująca się w części najwyższej bramy Pogoń litewska została nietknięta. Dobrze jeszcze się stało, że ci, co bramę budowali, zdaje się przewidzieli, że z czasem znajdą się w Wilnie nowego gatunku dekoratorzy, dlatego też Pogoń umieścili na sporej wysokości, co ją uratowało od zagłady..”

Nie przesadzamy czy nieznani „dekoratorzy” mieli istotnie podobne intencje co do Pogoni, ulokowanie jednakże herbu państwa na starożytnej bramie świadczy wyraźnie, że byliby zdolni posunąć się i do tego wandalizmu.

Pomijam tendencje polityczne, ale nawet gdyby to była Pogoń, nie Orzeł Biały, to ozdabianie pamiątkowej odwiecznej budowli współczesnymi odlewami z gipsu jest czemś tak niesłychanem, że wprost się temu wierzyć nie chce. Niestety jest to fakt, który sprawdziłem naocznie.

Cóż na to T-wo Miłośników Wilna i urząd konserwatorski, który bodaj istnieje przy Delegaturze? Warto, aby zwróciło uwagę na ten „czyn patriotyczny” T-wo Opieki nad zabytkami w Warszawie, które jednak posiada chyba więcej poczucia estetycznego i wyrobienia kulturalnego, niż nasi domorośli archeolodzy i artyści.

Licz.

## Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(Endecja w oświetleniu posła Chomińskiego. — Polska na drodze ku faszyzmowi. — Credo żydostwa wileńskiego w interpretacji posła Wygodzkiego. — „Republika wileńska”. — Cajt. — Teatr żydowski).

„Tog zamieszcza wywiad z p. Ludwikiem Chomińskim, wiceprzewodniczącym klubu „Wyzwolenia”. Zdaniem posła Chomińskiego najdotkliwszą bolączką Polski jest rozdźwięk między konstytucją i praktyką administracyjną, szczególnie na kresach w stosunku do mniejszości narodowych.

„Dążymy—mówił poseł Chomiński—do zaprowadzenia autonomicznego samorządu we wszystkich dzielnicach o mieszanej ludności. Tylko w ten sposób uda się usunąć błędy ze strony administracji na tak zwanych Kresach”.

Jako najważniejsze zadanie podczas obecnej sesji sejmowej poseł z „Wyzwolenia” uważa:

„obronę klas reprezentowanych przez „Wyzwolenie”, wprowadzenie w życie Konstytucji oraz reformy agrarnej jako też zdecydowaną walkę parlamentarną przeciwko obecnemu rządowi”.

Zainterpelowany o znaczenie zlania się „Wyzwolenia” z dość liczną grupą p. Dąbskiego p. Chomiński powiada:

„po pierwsze oznacza to konsolidację i ściślejsze zespolenie szeregów opozycyjnych przeciwko obecnemu rządowi, po drugie zaś połączenie to jest jednocześnie całkowitą likwidacją Witosa i jego roli w byłym zaborze rosyjskim”.

Stwierdzając zwrot na lewo w politycznych nastrojach mas ludowych, szczególnie w klubie „Piasta” i N. P. R. poseł Chomiński uważa, że jest to największą zasługą rządów chjeńsko-piastowych, które z dniem każdym bardziej się kompromitują, albowiem:

„endecja jest wrzodem na ciele polskiego organizmu państwowego; mógł on rozwinąć się dzięki tylko brudnym osadom niedawno minionej przeszłości. Endecja to system, który już się kończy, a nie ma żadnej przyszłości. Kraj bowiem domaga się budowy i sanacji najrozmaitszych urządzeń państwowych, do czego bynajmniej endecy nie są powołani. To też wpływy „Wyzwolenia” rosą z dniem każdym nie tylko w byłej Kongresówce, ale nawet w zachodniej Galicji, warowni Witosa. Ostatnio wkraczamy nawet do Poznańskiego”.

„Unzer Gedank” zabiera głos w sprawie nadzwyczajnych pełnomocnictw, jakich domaga się obecny rząd.

Pismo porusza sprawę odezwy w związku z wybuchem w cytadeli warszawskiej. Omawiając szereg represyj, rewizyj i aresztów (nawiasem mówiąc, również wśród sjonistów, dotychczas uważanych za bardzo lojalny element) „Unzer Gedank” stwierdza, że

„heca represyjna była tylko preludjum. Trzeba było przygotować należną atmosferę dla dyktatury faszystowskiej.

... A co oznaczają te nadzwyczajne pełnomocnictwa, tego nikomu objaśniać nie trzeba.

Oznacza to dyktaturę policji, likwidację ostatnich śladów demokracji, wzięcie w kleszcze klasy robotniczej, zduszenie wszelkich przejawów niezadowolonia, co doprowadzi kraj do chaosu politycznego i gospodarczego. Najwięcej oczywiście ucierpią przytem robotnicy, ubogie chłopstwo, mniejszości narodowe, szczególnie Żydzi”.

Prasa przytacza charakterystyczną mowę posła Wygodzkiego na posiedzeniu Komisji Oświatowej Sejmu.

Odpierając z całą stanowczością zarzuty, czynione szkolnictwu żydowskiemu, jako antypaństwowemu, dr. Wygodzki w ten sposób określa credo żydostwa wileńskiego:

„My mniejszości narodowe nie byliśmy Polakami i obecnie nimi nie jesteśmy. Ale my pragniemy pozostać lojalnymi obywatelami, pod warunkiem jednak całkowitej swobody naszej kultury, a przede wszystkim szkół. Zamknąć te szkoły oznaczałoby uczynić ze mnie osobiście wroga państwa polskiego”.

„Unzer Frajnd” we wstępnym artykule zakłada energiczny protest przeciwko represjom drogą konfiskat, stosowanych do tego pisma, podczas gdy żaden organ endecki ani razu nie został skonfiskowany mimo ustawicznych hec antysemitycznych

Od miesiąca z górą wychodzący tygodnik „Cajt”, chłuszcząc niemiłosiernie wszystkie instytu-

cje i ugrupowania ideowe, sprzeniewierzające się swym zadaniom, zamieszcza szereg notatek młodego pisarza, ukrywającego się pod kryptonimem Alba. Z właściwą sobie ironją wydrwiwa polityków żydowskich w Wilnie, o których mówi, iż

„Ongiś rabin Rubinsztajn obijał progi isprawnika, później feldfebla niemieckiego, a obecnie komisarza cyrkulowego, nie zdając sobie sprawy, iż bardziej odpowiedniem byłoby utworzenie w Wilnie Biura Klubu Sejmowego, by uniknąć obijania progów korytarzowych”.

Poruszając sprawę licznego udziału Żydów w bankiecie na cześć Prezydenta, wyraża się w ten sposób:

„Nasze żywotne sprawy zostają zaniedbywane. Zaprasza się na bankiet całe grono Żydów, którzy zamiast otworzyć usta i opowiedzieć o naszych łzach i bólach, chłodzą krwią zalane serca porcją lodów (co prawda za milion marek z własnej kieszeni). Przychodzi się jakby na obcą ucztę i siedzi się w roli niemych świadków. My chwala Bogu już mamy parlament. Więc tam się wynurzamy”.

Przytaczając taktykę szeregu polityków z Poincarem na czele, którzy wykorzystują każdą radosną i smutną sposobność do wypowiedzenia swych żądań i żądań, kończy:

„My zaś przychodzimy jako goście na obcą biesiadę, by gapić się na wielkich mężów stanu, dobrowolnie pozostając na uboczu jako niemi świadkowie”.

Dzienniki żydowskie notują z zadowoleniem fakt, że teatr żydowski otworzył swe podwoje wy stępami znakomitego artysty żydowskiego Abrahama Morewskiego, który rozpoczął sezon nieco oklepanym, powszechnie znanym „Dybukiem” Anskiego. Obecnie repertuar żydowski zostanie wzbogacony szeregiem nowych dramatów wybitnych dramatopisarzy.

Prasa żydowska wyraża swe przekonanie, iż umiejętna reżyserja p. Morewskiego niewątpliwie przyczyni się do utworzenia wartościowej placówki teatralnej w Wilnie.

*Miecz. Gold.*

## Bibliografia.

**Janowski Ludwik.** *W promieniach Wilna i Krzemieńca.* Wilno. Nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego, 1923.

Zmarły dwa lata temu prof. Ludwik Janowski prócz paru monografij drukowanych pozostawił po sobie sporą spuściznę rękopiśmienną oraz mnóstwo drobnych przyczynków i recenzij naukowych, rozsianych po rozmaitych czasopismach polskich. Grono przyjaciół Janowskiego zadało sobie nie mały trud przejrzenia i zebrania wszystkich jego prac i z tego urósł spory tom o 270 stronicach, poprzedzony przedmową prof. Pignonia oraz życiorysem zmarłego, skreślonym przez A. Wrzoska i W. Horoszkiewiczównę. Jak wiadomo, Janowski był zapamiętałym wiel-

bicielem dawnej Wszechnicy Wileńskiej i przez całe życie gromadził materiały do jej historii. Znał też wybornie, jak nikt inny, każdego z profesorów i literatów wileńskich z pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia, z którymi — jak się ktoś trafnie wyraził we wspomnieniu pośmiertnem — pozostawał „jakby w poufalej znajomości osobistej”. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu opracować obszernej i gruntownej monografii o Uniwersytecie Wileńskim. Zaledwie parę fragmentów zdołał wykończyć, które się ukazały w t. VI „Rocznika T-wa Przyjaciół Nauk”. Zgromadzone przezeń notaty stanowią niezmiernie cenny materiał, z którego skorzysta może jaki przyszły historyk. Wydawcy omawianego dzieła zamieścili dokładny ich rejestr. Trwałą wartość posiadają również artykuły i drobniejsze prace zmarłego, dotyczące dziejów Uniwersytetu, przedrukowane w niniejszej książce. Zwłaszcza zasługuje na uwagę obszerniejsze studjum „O pismach historycznych i literackich Jundziła”.

Życiorys prof. Janowskiego, utrzymany w tonie entuzjastycznym, rzuca ciekawe światło na niepospolitą postać młodego uczonego i działacza społecznego. Trafnie ujmuje zasadniczy rys jego charakteru umysłowości bezimienny sprawozdawca „Słowa”. — „Patrjotą był egzaltowanym. Zdawało mu się, że np. uniwersytet wileński powinien odrodzić się w najściślejszej prawomyślnych tradycjach filomackich, jakby żaden czasu przedział nie dzielił nas od epoki Śniadeckich, Lelewela, Czackiego... Zdawało mu się, że można i należy wskrzesić czasy dawno minione w uniwersytecie wileńskim, wy kierowując go na jakieś Okopy Św. Trójcy, o które by się rozbiły flukta — nowych czasów. W znacznej mierze z ideologii właśnie Janowskiego urosło oderwanie się wszechnicy wileńskiej od współczesnego, otaczającego ją życia, urosła jej jakby eksterytorjalność, hamująca nieskończenie potężny wpływ, któryby wileński uniwersytet polski mógł wywierać na całą ludność Wileńszczyzny“...

Spostrzeżenie głębokie i najzupełniej słuszne. Mimo jednak całego swego idealizmu, prof. Janowski nie był wolny od naleciałości nowoczesnego nacjonalizmu i ten pierwiastek szowinistyczny, który się ujawniał stale w jego działalności na gruncie wileńskim, rzuca ciemną plamę na skądinąd czystą sylwetkę duchową „promienistego”. Taki chociażby drobny, ale charakterystyczny niezmiernie szczegół: „W Szwajcarji — czytamy w życiorysie — zbliżył się Janowski do niezwykle sympatycznego i prawdziwie gołębiego serca Bronisława Piłsudskiego. Serdeczny ten stosunek wkrótce jednak oziął, a nawet się rozchwiał z chwilą, w której Piłsudski został przewodniczącym „Litewskiego Komitetu pomocy ofiarom wojny”.

Pod tym względem wpływ Janowskiego na kierunek wskrzeszonego uniwersytetu wileńskiego zaciążył jeszcze fatalniej, niż jego oderwanie się od rzeczywistości.

a.

**Treść numeru:** Po dwóch latach. — A. Sołoduch. W imię realizmu politycznego. — *Jadźwing.* Monografia Grodna. — List do Redakcji. — *Licz.* Z mego notatnika. — *M. Gold.* Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej — a. Bibliografia.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Ludwik Abramowicz.** Druk „Lux” Wilno, ul. Gen. Żeligowskiego № 1.